

# Kronika tygodniowa.

Wakacje letnie już się skończyły, węglowe jeszcze nie zaczęły, należałoby się więc spodziewać, że nauka w naszych szkołach idzie już normalnym torem.

Niestety, tak nie jest!... Podobnie, jak mamy kraj nasz bez granic i bez konstytucji, więc też i bez rządu, tak i szkoły nasze, zwłaszcza średnie, znalazły się w tym miłym położeniu, że nie mają nauczycieli, programu naukowego i książek.

A jak musi wyglądać w takich warunkach nauka, która się właściwie jeszcze nie rozpoczęła, a niebawem ma się już skończyć, pojmie chyba każdy, choć nie jest zawodowym znawcą szkolnictwa.

Na brak sił nauczycielskich, których dotąd nie liśmy dość, wpłynął gwałtowny odpływ w Poznańskie i do Kongresówki, gdzie teren pracy pedagogicznej jest więcej obiecujący i warunki materialne daleko pomyślniejsze.

Wystarczy powiedzieć, że w zakładach, w których na zapytania ciekawego, ilu też jest członków grona nauczycielskiego, odpowiadał tercyan z damą: „Ze mną i z panem dyrektorem razem trzydziestu sześciu profesorów!... pozostało najwyżej dziesięciu. Reszta poszła w świat za chlebem, bo ten, który tu spożywać im przyszło, był i suchy i niesmaczny, a minęły już bezpowrotnie te szczęśliwe czasy, kiedy to suplent za sto trzydzieści trzy korony i trzydzieści trzy halerze miesiecznie mógł wyżyć... bo masła!.

Rada Szkolna krajowa, która kieruje nadal sprawami szkolnictwa w byłym zaborze austriackim, doszła wprawdzie nareszcie do przekonania, że trzeba coś zrobić i dla nauczycielstwa średniego, ale, wobec znanej życzliwości centralnych władz warszawskich dla tak zwanej Małopolski, nie należy się spodziewać, aby słowo rychło stało się ciałem, obietnice są zaś zbyt eteryczne, by się nimi można nasycić.

Nie pozostało zatem nic innego, jak spaćować mianatki i wybrać się w świat w poszukiwaniu szczęścia, do którego każdy wzdycha, nawet pedagog.

I zostały nasze szkoły średnie w wielkiej liczbie bez sił nauczycielskich, bo trudno chyba powoływać na ich miejsce ludzi z „domowym wykształceniem“, dając im wprawdzie kwalifikacje do piastowania najbardziej odpowiedzialnych stanowisk rządowych, ale nigdy kierowników młodego pokolenia.

Zrozumieli to nawet już i rosyjscy bolszewicy i dali sobie spokój z mianowaniem tercyanów dyrektorami zakładów naukowych, więc i my pójdziemy chyba ich śladem.

Przed laty, gdy naszemu szkolnictwu dał się we znaki podobnie katastrofalny brak nauczycieli, przypychano na razie dzinury prawnikami i medykami, dziś zaś i na to liczyć nie można, gdyż każdy z nich znalazł gdzieś indziej i łatwiejsze i popłatniejsze zajęcie.

Choćby nawet i bardzo rychło weszła w życie proponowana przez Radę Szkolną krajową poprawa bytu, na mocy której nieegzaminowany zastępca nauczyciela miałby dostać podwójną dotychczasową płacę, a egzaminowany (z trzylatnią praktyką) dziewiątą rangę, niczem to jest w porównaniu z obecną drożyzną.

Winę w zupełności ponosi Rada Szkolna krajowa, która powinna była przewidzieć, że coś podobnego może się przydarzyć i zawczasu zaradzić złemu.

Gdyby nauczycielom ofiarowano takiesame warunki, jakie znaleźli w Poznańskim i Kongresówce, z pewnością bardzo wielu z nich byłoby się z miejsca nie ruszało, ale zostało na swych śmieciach.

Zupełnie to samo można powiedzieć o braku programu naukowego.

Szoro się wiedziało, że się będzie uczyć, należało zastanowić się nad tem, jak. A od tego, dopóki byli zabór austriacki nie stanowił jednolitej całości z resztą kraju, jest Rada Szkolna krajowa, w której gronie zasiadają mężowie światli i przewidujący, którzy nie powinni decydować na ostatnią chwilę, bo, co nagle, to po dyable!...

Powie kto może, że, skoro brak sił nauczycielskich, to się obejdzie i bez programu naukowego... I to prawda, ale, z tego punktu zapatrywania wychodząc, należałoby się pogodzić i z brakiem podręczników, a tymczasem słyszy się z tego powodu liczne i zupełnie uzasadnione narzekania.

W tym wypadku Rady Szkolnej krajowej nie winię, gdyż nowych podręczników z rękawa nie wytrząsać, a niejeden z jej członków byłby nawet zadowolony, gdyby za ułożenie nowego zgarzał do kabzy nieco koron.

Brak książek, to już następstwo stanu wojennego. Dawniejsze nakłady wyczerpane, nowych nie robiono, nie też dziwnego, że wszelkie podręczniki stały się dziś rzadkościami bibliograficznymi i że na nich dobre

interesy robią spekulanci. Drożyzna odbija się i na handlu książkami szkolnymi. Dziś trudno zmusić ucznia (o ile nie jest synem paskarza, lub dostawcy...) do kupienia sobie zeszytu, a cóż dopiero książki, za którą trzeba płacić na wagę złota lub niechajby i koron papierowych, choć one mają obecnie wartość tylko czterech centów byłej austriackiej waluty.

I w takich warunkach ma się odbywać nauka i to bardzo intensywna, gdyż rok szkolny rozpoczęto później niż zwykle, a nowe, wojenne wakacje „węglowe“ już za pasem.

Ot, musi się coś robić, jak to dawniej mówiono „na optykę“, ale jaki z tego będzie pożytek, zwłaszcza dla młodzieży?...

Odpowiedź na to pytanie bynajmniej nie trudna! Młodzież nauczy się wszystko zbywać lekko i nabiera jeszcze więcej wstrętu do poważnej i produktywnej pracy.

Za ś. p. austriackich czasów narzekaliśmy na to, Uniwersytet krakowski wystosował nawet memoriał do Rady Szkolnej krajowej, w którym ubolewał nad niedostatecznym przygotowaniem młodzieży do studiów wyższych, teraz będzie jeszcze gorzej.

Lat temu czterdzieści, dobrze się trzeba było napracować w szkole i w domu, aby zadość uczynić wymogom, egzamin dojrzałości zaś, to nie było byle co, ale też zato z ówczesnych szkół wychodzili ludzie, pojmujący poważnie swe obowiązki i uważający pracę za cel swego życia.

Z czasem reformatory szkolnictwa zmienili swe zapatrywania i powiedzieli, że uczeń ma się wszystkiego nauczyć w szkole, a jakiś tam pan Merkert, czy inny wiedeński minister, mając syna matołkę i bojąc się, aby przy maturze nie przepadł, tak ją ułatwił, że dla średniego ucznia, który dawniej na jakie takie przygotowanie się potrzebował nieraz i całego roku, dziś wystarczą dwa tygodnie, nie mówiąc już o tak zwanych maturach wojennych, wykwalifikowanych studentów.

Do takiej „wojennej“ mógłby dawniej śmiało zasiąść uczeń po ukończeniu klasy trzeciej, w której miał sposobność zaznajomić się z pierwszymi zasadami greczyzny.

Gdyby to młodzież obecna chciała bodaj należycie wyzyskać wolny czas (jak się zapewne spodziewali reformatory...) wszystko byłoby na miejscu. Tak jednak nie było. Dla wielu był to czas poprostu stracony, przeznaczony z urzędu na próżniactwo, nie wiodące nigdy do dobrego.

To też bardzo prędko okazały się fatalne skutki tego systemu, który zrodził pokolenie, nauzone wszystko lekko traktować i zbywać niczem.

A dziś jest jeszcze gorzej!... Dzisiejsza młodzież nie tylko nie odznacza się zamiłowaniem do pracy, ale poprostu czuje do niej wstręt, a chodzi do szkoły tylko po to, aby otrzymać świadectwo, gdyż tak popularne dziś „domowe wykształcenie“ to najnowszy wynalazek, który u nas się jeszcze nie zaaklimatyzował.

U nas to świadectwo ma jeszcze jakowyś walor.

Ponieważ zaś każdy bardzo chętnie postępuje tak, jak mu wygodniej i przyjemniej, próżniactwo zaś jest i wygodne i przyjemne, nie też dziwnego, że uczniowie trzymają się ściśle instrukcji dawnej, skoro nowa dotąd się nie pojawiła i w domu na książkę nawet nie spojrzą. Skoro bowiem powiedziano wyraźnie, że w szkole powinno się wszystkiego nauczyć, aby w domu mieć czas na wypoczynek, bo tak być musi.

Jeśli kto sądził, że młodzież zyskała na tem bodaj fizycznie, to jest w błędzie. Wystarczy popatrzeć na pierwszego lepszego młodzieńca, a mowoli przychodzi do myśli... wymówek!

Było więc źle już przed samą wojną, ale stekroć gorzej w czasie jej trwania i będzie po niej, zanim życie, a z nim i nauka, wejdą na normalne tory.

Dawniej bodaj w szkole miał się uczeń sposobność i obowiązek czegoś nauczyć, a dziś i to odpada z powodów wyżej przytoczonych. Nauka odbywa się, lecz tylko, aby się nazywało, że się coś robi. Ale też i nie może być inaczej, skoro brak sił nauczycielskich, planu i podręczników... Ktoby tam zresztą myślał o maturze!... Wojenna tak, czy owak się zda, w estatecznym wypadku zostaje zresztą jeszcze jedna, także „wojenna“ deska ratunku, a tą jest „domowe wykształcenie“.

Ostatecznie przeciw domowemu wykształceniu nie mieć nie można, ale musiałoby ono być pojęte na serio, a nie tak, jak się to obecnie utarło w Królestwie Polskiem.

Wykształcenie domowe jest nieraz bardzo pożądane, ale musi być prowadzone racjonalnie i zupełnie serio, pod fachowym kierownictwem, choć i bez niego można się obejść. Znany wielu ludzi, na wybitnych nawet stanowiskach, który to, ex em dziś są, zawdzięczają tylko sami sobie i domowemu wykształceniu,

jakie się im, dzięki ciężkiej pracy nad sobą, udało zdobyć.

Ale w Królestwie inaczej się na tę kwestję zapatrują. Tam widocznie pomlążane pojęcia „samouk“ i „nieuk“.

Owogo „domowego wykształcenia“ mamy dwa rodzaje. Jedną kategorią ludzi, nie miała w młodości czasu na kształcenie się umysłowe, zmuszona chwycić się pracy fizycznej, a dziś, znalazłszy się, dzięki pomysłnym dla niej koniunkturom, u stern, powinne się na „domowe wykształcenie“. nie mogąc się wykazać szkolnem, wymaganiem zwykle od kandydatów na ministrów, szefów sekcji i t. p. Druga osłagnała je mogła, ale nie chciała, uważając, że zbytnie przeciążanie się nauką źle wpływa na zdrowie fizyczne, a tylko w zdrowym ciele lubi siedzieć silny duch.

Ci panice w pierwszej swej młodości nauczyli się wprawdzie od bon i guwernantek paplać po francusku, z błędą czytać i pisać, potem, celem otarcia się w świecie, wyjechali za granicę.

I jedni i drudzy, znalazłszy się dziś na fotelu ministrów, czy też jakiegos szefa sekcji lub innego dygnitarza, są też w kłopotcie. I nie też w tem dziwnego, że taki pan na przedaniu petenta o posadę pisze własnoręcznie: „Proszę *przejrzeć*!...“, albo też, chcąc napisać prośbę o zwolnienie z uzyskanego stanowiska starosty, które mu się nie podoba, nie wie, jak się do tego zabrać, gdyż „drukowane“ czyta jako tako, ale w piśmie jest słaby!

Przy robieniu „wielkiej polityki“ dziś to przecież nie przeszkadza, tak, jak niegdyś nie przeszkadzało przy robieniu majątku.

Znamy w Krakowie pewnego milionera, który w młodości zdobył fachowe wykształcenie, a dzięki jemu i swej przemysłowości i majątek. Niestety, ani pisać, ani czytać nie umiał, co mu się zaczęło dawać we znaki dopiero wtedy, gdy jako finansista musiał przeprowadzać różne transakcje, podpisywać weksle, kontrakty i t. d.

Mając około pięćdziesiątki, trudno się zapisywać do szkoły, nie też dziwnego, że chwycił się ostatniej deski ratunku, a było nią „domowe wykształcenie“, ograniczające się na poznanie tajników wielkiego i małego abecadła. Przemęczył gorliwie parę miesięcy i nauczył się tyle, że się mógł podpisać bez błędu pełnem imieniem i nazwiskiem. Dzień, w którym przyjęto w banku jego pierwszy weksel z własnoręcznym podpisem, był dlań dniem tryumfu!

Nie takie jednak „domowe wykształcenie mam na myśli, o ile rozchodził się o naszą młodzież.

Wychodząc z zupełnie innego punktu widzenia, niż c. k. austriacki znawca pedagogii, twierdzić śmiało, że uczeń w szkole nie jest się w stanie wszystkiego nauczyć. Szkoła daje podstawy i wskazuje kierunek, resztę dokonać ma domowe wykształcenie.

Cóż jednak począć, skoro tak być nie może, bo niema nikogo, kto chciałby się tem zająć.

Część nowoczesnych pedagogów powiada w myśl dawnej ministerialnej instrukcji, że uczeń poza szkołą nie ich nie obchodzi, robią bowiem nawet więcej, niż powinni za to marne wynagrodzenie, jakie pobierają, wlewając mu w murach szkolnych olej do mózgowicy. Resztą ma się zająć dom.

Któż jednak znalazło na to czas, skoro tatną zajęty jest zawodową pracą, polityką lub... paskarstwem, a mama łamie sobie głowę, w jaki sposób coś z niego stworzyć, to jest ugotować obiad, nie mając ani węgla, ani mięsa, cukru, maki, soli, masła ziemniaków i t. d.

Młodzieniec oddany jest zatem sam sobie i cały czas, jaki mu zostawiono do dyspozycji, obraca na to, co mu jest przyjemnem i nie wymaga ratężenia zbytniego, to jest na lekturę lekką i zwiędzanie kin, spacer w miłym towarzystwie, jednym słowem na... próżniactwie, które w tym wypadku może być równoznacznem z warszawskiem „domowym wykształceniem“.

Ale z gruntu fałszywem jest twierdzenie, jakoby tylko praca fizyczna była pracą.

A dziś coraz głośniejsze powtarza się tę teorię i może i ma rację młodzież, że się zbyt nie rwie do nauki, wiedząc o tem, że ona da jej sposób nie do życia, lecz jedynie do marnej vegetacji.

A widzieliśmy to na każdym kroku.

Porównajmy ze sobą na przykład robotnika, zajętego wydobywaniem piasku z Wisły i człowieka o aka demickim wykształceniu, więc urzędnika lub profesora, jakie mają przygotowania do spełnienia swego zawodu i ile ono ich pracy i zabiegów kosztowało, w jakich żył warunkach i jak są za to wynagradzani!

Pierwszy z nich powiada sam o sobie, że nie pracowałby, gdyby dziennie nie zarobił pięćdziesiąt koron, drugi, to jest urzędnik lub profesor, kontent jest, jeśli mu wypadnie trzydzieści na dzień. I to po ilu latach służby i w jakich odmiennych warunkach życiowych!...

